№ 10.

Warszawa dnia 25 Lutego / 9 Marca R. 1867



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Korrespondencja z Paryża.

(Dalszy ciąg).

Według wspomnionéj broszury, Turcja europejska obejmuje przestrzeni mil kwadratowych 6510, zamieszkałych przez dziesięć miljonów ludności, przeważnie Słowiańskiéj, gdyż samych Bulgarów jest cztery miljony. Stronnicy Turcji nie uważają ich wprawdzie za Słowian, jako przybyłych ze stepów azjatyckich, ale zapominają, że Bulgarja jeszcze przed najściem była osiedlona słowiańskiemi ludami, i że przybysze zdobywszy ją przyjęli miejscowy język i religją. Ta łatwość przyswajania obcéj mowy szczególniéj cechuje ludy Turańskiego pochodzenia. Zydzi także liczący się do tego szczepu, po rozproszeniu choć nie przestali być żydami według religji, jednak rodzinną swą mowę zatracili, a przyjęli innych miejscowości. U nas uboższa klasa Żydów mówi szwargotem sobie właściwym, złożonym z przekręconéj niemczyzny i miejscowych wyrazów, dla tego że osiedlili się tu nie zaraz, po wyjściu z Jerozolimy. ale po długich latach pobytu i prześladowania w ościennych miejscowościach. Przyśli więc z obcą mową i z pewnem ułagodzeniem koczowniczego usposobienia Azjatów.

Podobnie i Bulgarowie spadłszy jak burza na Słowiańskie ludy, ugięli je pod jarzmo swoje, ale prędzéj jeszcze sami poślubili miejscowy język i religją. Że zaś działo się to nader dawno, wczasie napaści Madziarów na kraje za Karpackie, a więc przeszło dziewięć temu wieków, więc z miejscowością tak się zrośli, tak utworzyli z nią jedną całość, że oddzielać ich od niéj już niepodobna.

Oprócz czterech miljonów Bulgarów, znajduje się w Turcji europejskiéj Bośniaków i Kroatów miljon, Serbów pół miljona, Greków miljon, Albańczyków tyleż, Wołochów pół miljona i pewno nie mniéj Ormian, Żydów, Cyganów, Czerkiesów, Tatarów i innych drobniejszych ludów. Dodawszy do tego 300,000 Tatarów wyszłych z Krymu i Kaukazu, i Albańczyków, co przyjęli islam, Turków czystéj rasy nie będzie nawet miljona.

Według obliczeń dokonanych w latach 1830,—1840— i 1855, Turków miało być pięć miljonów, późniéj cztery potem trzy. O ile cyfry te są prawdziwe nie wiadomo, zawsze jednak dowodzą, że ludność czysto Turecka nie powiększa się, ale znika i to w sposób widoczny a nawet przerażający. Choćby wreszcie obrachowanie to było zupełnie błędne, choćby pierwsi zdobywcy Bałkańskiego półwyspu nic się po dzień dzisiejszy w liczbie swéj nie umniejszyli, to samo zasklepienie przez tyle wieków w jednéj cyfrze, jużby wymownie świadczyło o możności zniknienia ich z dzierżaw europejskich. Prędzéj późniéj, tak czy owak nastąpić to musi i nastąpi: pół księżyc ustąpi przed krzyżem, jako przed symbolem postępu, którego przeznaczeniem jest, miłością zdobyć świat cały.

A piękna to bogata kraina. Dopływając morzem do Konstantynopola, rozwija się widok tak cudowny że go nawet bogata fantazja wschodu określić małe życie nie zdoła. Najprozaiczniejszy człowiek patrząc na to mrowisko ludzkie, rozsypane na pobrzeżu, przeplecione wysokiemi jak sosny cyprysami i wieżyczkami licznych minaretów, odbijających w rozlicznych barwach łamiące się w nich promienie słoneczne, niezawodnie uczuje w sobie dziwne poruszenie serca, i padnie na kolana przejęty uwielbieniem dla Twórcy tak cudownego obrazu. Dopłynąwszy jednak do brzegu, wrażenie prędko mija. Gwar, niechlujstwo, nieporządek, uderza nie nader przyjemnie wszystkie zmysły przybysza. Roje hamałów czyli

tragarzy opanowywują cię ze wszystkich stron, łapią za ręce, za plecy, ramiona, ledwo że nie za głowę, ten porywa parasol, ów tłomoczek, worek podróżny, że sam nie wiedząc jak i kiedy znajdujesz się na koniu niosącym cię w środek miasta. Konie te zastępują w Konstantynopolu fijakry i dorożki zwyczajnie używane we wszystkich miastach europejskich. Ulice bowiem są tu tak wązkie, że wszystkie ciężary przenoszone są przez ludzi, bo krążenie wozów jest niepodobne. Owe zaś cyprysy zdaleka przedstawiające się jak rozsypane po całem mieście ogrody, są to po prostu cmentarze, niezmiernie przez Turków ukochane. Pomiędzy grobami szczególniéj lubią oni przechadzki, tam zasiadają dla picia kawy, palenia tytoniu i miłéj zadumki.

Wydobywszy się z przedmieścia Gałaty nad samym portem znajdującego się, a tem samem najruchliwszego i najhandlowniejszego, podróżny wspina się po schodach ku miastu i wsuwa się w uliczki zaledwie sążeń szerokości trzymające. Jeżeli na nieszczęście natrafi się na słotną porę, to trzeba brnąć w błocie po kolana, napotykając co krok kupy śmieci, zdechłego psa, kota, szczura, albo rozłożone jakie szczątki z istot organicznych. Co krok przytem spotykasz tłumy pieszych, konnych lub lektyki starannie zasłonięte. Co chwila także słyszysz wrzask hamała, wzywającego do usunięcia się z drogi, obciążonego jak wielbłąd. Są to ludzie szczególną obdarzeni siłą: barczyści, rozrośli, ciężcy jak słonie, z dużym fortepjanem w pace, postępują śmiało bez żadnego odpoczynku. Inny znów trzyma ogromny kufer na głowie, przez plecy przewiesza torby i lżejsze rupiecie, do ręki bierze jeszcze ciężką walizkę i podskakując rusza w górę po schodach, wrzeszcząc jak opętany. Zwykle do każdego przybyłego Europejczyka, przylepia się tłumacz prawie zawsze Izraelita, którzy tak są wprawni w poznawanie narodowości do jakiéj podróżny należy, że najczęściéj właściwym do niego przemawia językiem. Jeżeli się omyli, natychmiast rozpoczyna rozmowę po niemiecku, francuzku, angielsku, grecku, rosyjsku, włosku albo po polsku, dość że w końcu musi trafić i otrzymawszy odpowiedź uśmiecha się tryumfująco, zadowolony z zarobku jaki go czeka. Bez tłumacza szczególniéj w chwili przybycia, nie podobna byłoby sobie dać radę, chwytasz się go więc z największą radością, zwłaszcza usłyszawszy w koło siebie jakieś bełkotanie, z którego pomimo największego wytężenia uszów nie można uchwycić ani jednego wyrazu. W tem miejscu przypomina mi się anegdota z dawniejszych czasów, wybornie charakteryzująca pierwsze wrażenie, jakie się otrzymuje ze słyszenia mowy Turka.

Jakiś światowiec kręcący się z kordem po zamorskich kniejach, długi czas przebawiwszy z Turkami, za powrotem do domu, pragnąc pochwalić się zdobytą nauką, udał dokładną znajomość języka tureckiego. Wygadywał więc jak to mówią niestworzone rzeczy, tworzył wyrazy, przekręcał, słowem paplał co mu tylko wlazło na język. Ale raz zjawił się jakiś umiejący cokolwiek na prawdę po turecku. Usłyszawszy więc tak dziwną mięszaninę, wręcz zaprzeczył że to nie jest turecka mowa. Rozgniewany światowiec, nadrabiając miną, oświadczył, że właśnie zadający mu taki dyshonor nie zna zupełnie tego języka, i na dowód tego napisał mu zdanie, jakoby wyjęte z przepisów moralności Mahometa, żądając aby je wytłumaczył po polsku. Zdanie to było następujące:

Ałajm ajsak u ydorb ajsarak.

Sprzeciwiający się przyczytał je kilka razy z pilnością i po namyśle długim oświadczył, że jakkolwiek napisana sentencja jest czysto po turecku, że chociaż pojedyncze wyrazy rozumie dobrze, szczególniéj *ajsarak* znaczący sajdak a *ajsak* gniew, jednak jako ułożoną wyższym stylem przetłómaczyć nie może, bo w tak wysokim stopniu znajomości języka tureckiego nie posiada. Wtedy światowiec ujmując się za boki rzekł z rozweseleniem:

— Ja ci powiadam że nic nie umiesz, bo to co napisałem to lada dziecko odczyta jeżeli czytać będzie każdy wyraz od końca. Umyślnie ci tego figla zrobiłem, żeby przekonać wszystkich, iż sam nie umiejąc ani słowa po turecku, nie masz prawa zadawać nieumiejętności drugiemu. Zdanie w ten sposób odczytane, brzmi:

Miała Kasia u brody Karasia.

Przeciwnik odszedł zawstydzony, a światowiec do końca życia uchodził za umiejącego dobrze po turecku.

(d. n.)

Kronika literacka.

Pomoc własna (Self-Help) Samuela Smilesa spolszczone i przerobione staraniem redakcji Przeglądu tygodniowego, wychodzącego pod główną redakcją A. Wiślickiego. W niewielkiéj liczbie wydawnictw, jakiemi nas od lat kilku tak skąpo obdarzają księgarze Warszawscy, książka o jakiéj zamierzamy pomówić, użytecznością swoją i praktycznością należy do pierwszorzędnych i dlatego znaleść się winna w kółku każdéj rodziny, a szczególniéj w rękach młodzieży wchodzącéj w szranki publicznego życia. Czasy cudów, manny spadającéj z nieba w jakich niegdyś pieczone gołąbki same leciały do gąbki, minęły bezpowrotnie i dziś chcąc mieć chleb, trzeba pracować ciężko, mozolnie, a przedewszystkiem umiejętnie żeby i z pieniędzy nie przyjść do nędzy.

Czego dobra wola i chęć szczera dokonać mogą w życiu, jak są potężnemi dźwigniami dobrobytu ludzkiego, tego dziełko powyższe uczy z każdy swojéj kartki, stawiając żywe przykłady z ludzi różnych narodowości, co własną pracą a niezłomną siłą ducha, z niziny społecznéj potrafili dobić się szacunku powszechnego, rozgłosu i majątku. Jest więc jak pracowity górnik, wydobywający niespożyte skarby z łona ziemi, spoczywające w niéj długie lata w spokoju i bezczynności. Bogiem a prawdą, wszystko mamy co potrzeba, zdatność do każdéj pracy i umiejętności, rozum zdrowy i czerstwy, serce często złote a zawsze poczciwe, ziemię rodzajną a nawet bujną,

klimat umiarkowany, słowem materjał jest wszelki, nie brakuje ani jednéj cegiełki do wzniesienia gmachu ogólnéj zamożności, a jednak jak żebracy, wyciągamy po wszystko ręce za granicę, jakbyśmy na wpół martwi wśród martwéj żyli przyrody. Brak dobréj woli i szczeréj chęci głównym tego powodem. Zagranica bogata, zamożna, ale jakżeż tam ludzie pracują, jak starają się. zabiegają i uczą, jak tam praca jest czczona i szanowana i spleciona z wykształceniem umysłowem. U nas jeszcze po większéj części pracę uważamy za karę Bożą, pracowników ubogich traktujemy z góry, próżniakom bogatym bijemy czołem, za młodu myślemy o posażnem ożenieniu a późniéj o kupnie sekretu na szczęście albo o wygraniu na loterji. Ludzi coby sami przez siebie zapragnęli wszystkiego, mało, bardzo mało. Dzieło *Pomoc własna* uczy właśnie jak takiemi zostać i to nie suchym morałem, ogólnikami znanemi wszystkim, ale przedstawieniem życiorysów ludzi, co jak powiedzieliśmy, własną pracą i staraniem, brnąc przez trud często krwawy a zawsze mozolny, walcząc z nędzą i obojętnością ogółu, odpychając przeszkody z mozołem często siły ludzkie przechodzącym, szli naprzód w raz powziętéj myśli, nie zważając na nic, nie zrażając się niczem, aż doszli tam dokąd zmierzali.

To też czyta się je z niezmiernem zajęciem, a sam powód wydania tego dzieła jest tak interesującym, że go powtórzyć czujemy się prawie w obowiązku.

Otóż w pewnem angielskiem miasteczku, kilku młodych robotników zawiązało stowarzyszenie, w celu kształcenia się w chwili spoczynku po całodziennéj pracy, poważną rozmową i głośnem odczytywaniem książek. U nas w Warszawie młodzieży jest dosyć, nie braknie jéj i po większych miastach prowincjonalnych, a jakże spędzają wolne chwile od zajęć obowiązkowych, które im najmniéj osiem godzin zostawiają do własnego rozporządzenia? Nie przesadzim powiedziawszy, że z małym wyjątkiem prawie na niczem. Jeżeli wezmą się do czytania to więcéj z nudów, czasami z musu, przed spaniem lub przy rannem śniadaniu z fajką w ręku, resztę zaś godzin pożera wałęsanie się po ulicach, wizytki, bilard, karty albo bachandrje suszące kieszeń i czerstwość duszy. Gdyby choć dwie godzin poświęcili dziennie czytaniu, otrzymaliby zysk moralny i materjalny nieobliczony, a i tak jeszcze sześć godzin zostałoby im wolnych dla innéj rozrywki. Czyż to nie dosyć? Po zawiązaniu takiego w Anglji stowarzyszenia, wprędce szczupłe kółko zacnych młodzieńców tak się powiększyło, że zmuszeni przenieść się do obszerniejszego miejsca, sprawili krzesła, ławki, tablicę, katedrę i wreszcie uprosili p. Smilesa, aby jak się wyrazili, przemówił do nich trochę, w przedmiocie przez siebie obranym. Ujęty światły ten mąż, zacną chęcią młodzieży i okazaną przez nich energją, postanowił odczytami życiorysów znakomitych mężów, wykazać im dowodnie, czego w życiu ludzkiem dokazać może dobra wola i chęć szczera. Ukończywszy kurs, wydał go potem w jednym tomie pod napisem *Self-Help* co po polsku brzmi najwłaściwiéj *Pomoc własna*.

Książkę rozkupili bogaci i ubodzy, światli i ciemni tak że w ciągu roku miała szesnaście wydań, z których pierwsze 60,000 egzemplarzy obejmowało. Z siedmnastem wydaniem ujrzano nowy dom na Blackhoath a na nim napis: *Zbudowany za dochód z Self-Help*. Było to najwymowniejszem świadectwem czego ogół pragnie, za czem dąży, jak myśl zdrową dzielnie pojmuje i jak umie wynagrodzić pracę odpowiednią jego potrzebom.

Dzieło tak rozerwane w siedemnastu wydaniach, przetłumaczone na kilka języków, wydane zostało w przekładzie polskim za staraniem p. A. Wiślickiego i grona młodych współpracowników Przeglądu tygodniowego pisma przez niego redagowanego. Funduszów na zaspokojenie kosztów wydania, dostarczyli pp. Józef Juszczyk majster krawiecki i Jan Mieczkowski właściciel zakładu fotograficznego, którzy byt swój obecny zawdzięczając jedynie własnéj pracy i staraniu, zapragnęli dopomódz do wydania dzieła poświęconego główni. rozwinięciu energji w pracy jakiéj brak ogólnie czuć się daje. Że zaś autor w wykładzie swoim, głównie miał na uwadze Anglików i Anglją, p. Wiślicki więc idąc za przykładem niemieckiego tłumacza Józefa Boyesa, wykład jego wziął za tło do swojéj pracy, do niemieckich i francuzkich życiorysów, dołożył wiadomości o rodakach naszych, którzy swe stanowisko w nauce, przemyśle, wynalazkach winni są własnéj pomocy.

Pierwszy zeszyt wyszły z druku, jakich sześć ma stanowić całe dzieło, obejmuje trzy nie całe rozdziały 1. Narodowa i indywidualna pomoc własna: 2. Wynalazcy i przemysłowcy: 3. Pomoc własna i stowarzyszenia.

Prawdziwe to gody wyjście podobnego dzieła. Myśli w niem zamknięte pomału muszą wsiąknąć w ogół i wydać odpowiednie owoce, bo samo zjawienie się jego najlepszą stanowi tego zapowiedź. A są tam prawdy godne druku złotemi literami.

Pogadanka Tygodniowa.

Swięty Maciéj zimę tegoroczną zbogacił i to nie na żarty. Pomimo wiosennego ciepła, grzmotów, piorunów, nawet gradu jak wśród lata i pszczół rozbudzenia, znowu otulamy się w futra, chuchamy w ręce i Warszawa dudni zmarżniętą ziemią uśmiechając się pogodą, a smucąc pokutą wielkiego postu. Wprawdzie grzechy żywota karnawałowego nie były śmiertelnemi, ale rozpamiętywanie naturalna to szata pory przed-Wielkanocnéj. W karnawał, choćby przy czystéj herbatce i skromnych krajankach z mięsiwem, zawsze w taneczku skakano... rzucano spojrzenia i z serduszka do uszka gruchano, wzdychano. Szepty wprawdzie rzecz nie zdrożna, byle natchnione szczerem poczciwem uczuciem, nie służyły za chwilową igraszkę, dla zabawki i zabicia czasu, ale można w nich nadokuczać się porządnie co panienki lubią i umieją. Jedna z podobnie złośliwych istotek znajoma mi dobrze, młodzieńca szczerze do niéj przywiązanego, oddanego całą duszą i o niéj jedynie marzącego, niedość że wodziła jak na pasku, że zrobiła posłusznym na najmniejsze swoje skinienie, ale jeszcze torturowała udaną obojętnością, a męczyła obudzaniem zazdrości jak dzieci chrabąszcza. Znając dobrze te dwa szczerze kochające się serca, na jednem z zebrań rodzinnych, widząc jak panienka weseli się, szczebiocze i uśmiechu a młodzieniec błąka się po salonie z nosem spuszczonym na kwintę i z włosami roztarganemi desperacko, postanowiłem zostać tajemnym pośrednikiem pomiędzy rozdzieloną parą. Musknąłem więc wąsy i szepnąłem do ucha zakochanego:

— Władku cożeś tak osowiały? Ostro zuchu! wal mazura żeby w chołupcach aż iskry sypnęły.

— Kiedy niemam jakoś chumoru“ odrzekł Władek mimowoli rzucając spojrzenie na ukochaną przez siebie Marynię, właśnie w téj chwili przemykającą się koło nas w rześkich poskokach tanecznych.

— Rozumiem—odrzekłem—panienka cię dręczy i męczy....

— Mnie? przerwał Władek rumieniąc się—nie znam podobnéj a gdyby i była to cóżby mnie mogła obchodzić?—Dręczyć kogo i męczyć, jest to mieć złe serce, a taką nie mógłbym się ani zająć ani ukochać.

— O źle pomyślałem sobie a głośno odrzekłem:—no, zapewne. W przypuszczeniu więc swojem omyliłem się, ale chciałem ci dać radę bardzo skuteczną i już wypraktykowaną.

— I jakaż to? zapytał młodzieniec po chwili widząc że umilkłem.

— Widzisz mój drogi, panienki lubią obudzać zazdrość w zakochanych. Jest to słabostka do pewnego stopnia niewinna i nieszkodliwa, ale posunięta do przesady staje się rodzajem choroby, dosyć niebezpiecznéj. W medycynie homeopatja coraz większego nabiera znaczenia, tu wybornie może być zastosowaną. Jak więc tylko panienka obudzanie zazdrości za daleko posuwa, niby zajmuje się innym, a przynajmniéj chętnie przyjmuje nadskoki i grzeczności obce, najlepiéj udać że się tego niewidzi, smiać się, weselić i bawić w najlepsze. Jest to droga w skutku nieochybna“.

Nauka w las nie poszła. W pięć minut Władek wyprostował się, kwintę zdjął z nosa a nacisnął basową strunę, czuprynę ugłaskał, twarz rozpromienił, przysiadł się do téj do owéj, tu dowcipem zabawił, tam się rozśmiał, tu zagadał, tam zaczepił, słowem odmienił się do niepoznania, że aż sam się zdziwiłem nagłéj zmianie, obawiając się czym dozy w udzielonéj radzie nieprzesadził. Marynia z początku nie zważała, potem zdziwiła się, a w końcu posmutniała widocznie i przeszła do obocznego pokoju.

W kilka minut Władek nadbiegł, ja stałem przy drzwiach z uchem dobrze naprężonem, a Marynia siedziała na kanapce, z głową opartą na ręku.

— Służę pani do polki“ odezwał się Władek.

— Przepraszam pana ale mnie głowa nagle rozbolała.... nie będę już tańczyć.

— A! mój Boże, odezwał się Władek ze szczerą obawą: tak pani była zdrowa przed chwilą.... czy aby pani nie oziębiła się zbytecznie zimnym napojem?—Może wina troszeczkę?— może herbaty gorącéj?—

I rzekłszy to poczciwy Władek chciał poskoczyć po wino lub herbatę, ale go powstrzymała Marynia, i widać ujęta tak serdeczną troskliwością wskazując pobliskie krzesło rzekła:

— Dziękuję panu, jest to ból głowy chwilowy czasami mnie napastujący. Spokojność leczy go w prędce i dlatego przeszłam tutaj aby wypocząć.— Ale niech pan nie psuje sobie zabawy, tam tyle jest panienek....“

— Ale pani nie ma“ szepnął Władek całując rączkę dziewicy.

— Mnie?—a to zaszczyt zupełnie niespodziewany.

— Panno Marjanno‘ ‘odrzekł Władek z rzewną wymówką—‚ czyż godzi się coś podobnego mi powiedzieć?— Czyż przyjaźń jakiéj ciągle dla pani daję dowody, niegodna innego uznania?—

— To też panu jestem serdecznie wdzięczną, ale można być dobrym przyjacielem a samemu bawić się do upadłego. Ostatnie słowa dzieweczka wymówiła z pewnym naciskiem i bawiąc się cokolwiek niecierpliwie chusteczką mówiła daléj: — przyjaźń uczucie potężne ale nie samolubne, bez uszczerbku można niem darzyć wiele osób nawet panien....

— Przyjaźnią to prawda“ przerwał Władysław, ale sądzę że dowody szacunku jakich nieszczędzę dla panny Marjanny, nie z saméj przyjaźni pochodzą, ale z uczucia wyższego, szlachetniejszego....

— Dajmy pokój uczuciowym rozprawom“ przerwała Marynia., lepiéj pan zrobisz korzystając z tak pięknéj polki, jak nudząc się kwaśnem mojem towa-

rzystwem. Panna Jadwiga właśnie usiadła a pan tak lubisz z nią tańczyć.

Władek nic nie odrzekł, młoda psotnica uśmiechnęła się nieznacznie i spoglądając na spochmurzonego młodziana, zapytała.

— Panie Władysławie czy się pan gniewasz?—

— Czyż mógłbym się na panią gniewać?— Smutno mi tylko, że dokuczaniem tyle mi pani robisz przykrości.

— Już mnie głowa przestała boleć, odezwała się Marynia powstając z kozetki z uśmiechem miluchnym, spojrzeniem utkwionem w młodziana—mogę więc pryjąć pańskie zaproszenie do polki z przypomnieniem, jeżeli nie zapomniałeś, że jestem przez pana do mazura zamówioną.

Władek zerwał się, przyjął podaną sobie rączkę i zmieszał się z gronem tancerzy, promieniejąc radością i szczęściem. W kwandrans potem młoda para siedziała przy sobie prowadząc rozmowę z zajęciem jakiego można zazdrościć. Porozumienie nastąpiło widać zupełne, bo przy rozejściu się Marynia pogroziła mi mówiąc:

— Mam żal do pana, proszę pamiętać. Czy to się godzi tak nas obmawiać?

Rąbnięty tak niespodzianie, tylko uszy przytuliłem jak zając, ale nic nie odrzekłem. Figiel udał się wybornie.

Zapewne powiecie przeczytawszy ten opis, żem się wdał nie w swoje rzeczy. Być może, ale na uniewinnienie opowiem Wam w przyszłym numerze inne zdarzenie, a jestem pewny że mi przyklaśniecie.

Pani Wilkońska smutną nam udzieliła wiadomość: oto wyjątek z jéj listu:

W dniu 19 Lutego bieżąc. roku umarł w Dreźnie Roman Zmorski znany poeta i zasłużony pracownik w piśmiennictwie polskiem. Żona jego i przyjaciele czuwali przy nim aż do ostatniéj chwili.

W dniu 21 orszak dość liczny, złożony z przyjaciół i znajomych odprowadził zwłoki zmarłego, na miejsce wiecznego spoczynku. Obszerny nekrolog zmarłego pismna nasze wkrótce ogłoszą. Pokój jego cieniom i współczucie pamięci.

O UBIORACH.

KORESPONDENCJA Z PARYŻA

Ubranie teraźniejsze coraz to bardziéj przybiera charakter stroju naszych babek, z pierwszych lat obecnego wieku. Zacząwszy od loczków wijących się w pierścieniach na czoło, do krótkich staników, powłóczystych ogonów u sukien, wszystko dziś takie same, jak na portretach z czasów I-ego Cesarstwa.

Cała różnica daje się tylko spostrzegać w krynolinach, które jakkolwiek bardzo zwężone, nie ustąpiły jeszcze ze sceny i w kapeluszach tak dziś maleńkich, że ich od czepeczków odróżnić niepodobna, gdy tymczasem nasze babki praktyczniejsze od nas, nosiły prawdziwe kapelusze, z obszerną główką, chroniącą od zimna i wielkiem rondem, zastępującem wybornie parasolik.

Mówiąc o dzisiejszych kapelusikach, zapiszemy tu nową ich ozdobę, jaka się w tych czasach pojawiła. Wiele znich przybierają paciorkami z bursztynu, lub ze szkła żółtego naśladującego bursztyn. Uważaliśmy między innemi czarny tiulowy, cały zasiany drobnemi świecącemi bursztynkami. Nad czoło spadały bogate grelotki odpowiednie. Taki kapelusz ładnie wygląda do teatru, zwłaszcza przy czarnych włosach.

Zwrócił też uwagę naszą kapelusz czarny tiulowy, ubrany grelotkami z lawy, podpięty zboku różą blado różową. Do wiązania służyły szarfy aksamitne ukośne, podszyte białym atłasem, z wypuszczonemi takiemiż rulonikami. Przy twarzy szła gładko biała blondynka. Trzeci kapelusz fijołkowy z materji naciąganéj w formie chusteczki, miał trzy zęby zachodzące na koki, zakończone żołędzią z czarnych pacioreczek: przez środek przechodził warkocz z takiegoż aksamitu, pokrywający uszy od zimna; od tego warkocza szły krótkie końce, do spięcia pod brodą, które tworzyły jakby krawatkę. Nad czoło spadały grelotki w formie żołędzi.

Powiemy teraz o ładnych ubiorkach na głowę, któreśmy widzieli w jednym z wielkich magazynów Paryzkich. Pierwszy z nich składał się z wałka aksamitnego niebieskiego, nasuniętego mocno na czoło, z prawego boku spadały dwa końce z takiejże aksamitki, z lewego długa gałązka niebieskiego powoju z liśćmi, sięgająca aż do ramienia. Wraz z tą gałązką miały spadać długie dwa loki.

Drugi ubiorek, składał się z wielkiego liścia lilji wodnéj, zwróconego nad czoło pomiędzy nioby; w koło tego liścia przyczepione były grelotki kryształowe, naśladujące krople wody. Z lewego boku szły dwie lilje wodne (nenufary), i dwa długie liście spadające na ramię.

Trzeci ubiorek tworzył jakby gniazdeczko ułożone z blondyny i drobnych kwiatków; na warkocz spadała długa trawa.

Czwarty ubiorek, bardzo oryginalny i ładny, był to po prostu warkocz długi na łokieć i pół, lekko zapleciony z tiulu czarnego jedwabnego, naszytego pacioreczkami z lawy. Warkocz ten okręcał się nad czołem, i w koło koków, jeden koniec jego zakończony był różą drugi kwastem lawowym. Róża z pączkiem wpięta z lewego boku dopełniała ubrania.

Piąty ubiorek składał się z rulonu aksamitnego czarnego, z lewéj strony wpięta była gałązka róży

polnéj, i długi koniec biały illuzjowy obszyty blondyną: koniec ten przerzucał się powyżéj koków i spadał na prawe ramię.

Z mniéj strojnych czepeczków uważaliśmy katalankę kluni, złożoną z dwóch wstawek zszytych w górze jedna koło drugiéj, niżéj puszczonych osobno na koki. Nad czołem szedł garnirunek z koronki kluni na dwa palce, przeciągnięty do wstążek różowych, które można było wiązać pod brodą lub zawrócić pod warkocz. Z tyłu katalanka ogarnirowana była wązką koroneczką, kokarda różowa położona płasko nad czołem dopełniała ubrania.

Materje jedwabne broszowane w drobny deseń na tle czarnem lub ciemnem, czyli tak zwana Brokatela należą do najmodniejszych. Do zwyczajnego ubrania na wizytę lub obiad powszechnie przyjęte suknie czarne jedwabne.

Widzieliśmy suknię *poult de soie* czarną krajaną w kliny przymarszczoną z tyłu. Na każdem zszyciu brytów, szły cztery pliski czarne atłasowe, przeszyte w środku paciorkami czarnemi, wielkości grochu w małych odstępach. Pliski te zawracały się u dołu na obie strony, tworząc grecki deseń. Przód spinał się na guziki szmuklerskie.

Do wyjścia na ulicę najmodniejsze suknie gładkie sukienne, na takiejże spódniczce z przodu szamerowane pletnią. Paletocik do tego odpowiedni. Jako nowość wpadła nam w oczy taka suknia układana cała w fałdy zaprasowane na jedną stronę.

Pończochy na ulicę przyjęte w kratkę, szachownicę, albo w podłużne paski, do sukni jedwabnéj noszą jedwabne w odpowiednim kolorze, z białemi klinami po bokach.

S. D.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Podstawka pod lampę na suknie lnb tybecie, wyszyta paciореczkami i sieczką. Zęby w około dziergane jedwabiem. — N. 2. Kołnierzyk z dubeltowego płótna, haftowany atłaskiem. W gwiazdach narożnych kółeczka ażurowe.— N. 3. Mankiet.— N. 4. Kołnierzyk „Ludwik XV“ z deseniem na haft atłaskowy i drobny stembenek. N. 5. Mankiet. —N. 6, 7 i 8. Desenie na okrągłą serwetę tiulową na stolik lub do okrycia kanapy i foteli z aplikacją muślinową. Materjał: brukselski tiul, batyst albo nanzuk, lub muślin i pika w prążki.

Dla wykonania tej ładnéj serwety dajemy pod numerem 6 deseń na środkowy bukiet, pod numerem 7, małą tylko część deseniu brzeżnego, który się bardzo łatwo da uzupełnić, przykładając do każdego uciętego zęba środkowéj gwiazdy, medaljon, których powinno być osiem jak to na rysunku serwety widzieć się daje. Nr. 8 przedstawia deseń do medaljonów, zastosowany do środkowego bukietu. Brzeżny deseń wyrysowywa się na batyście albo nanzuku nie zbyt cienkim, na środkowy zaś deseń bierze się pika w drobne prążki z wyrysowanym na niéj środkowym bukietem, za pomocą papieru kolorowego do kalkowania deseni. To wszystko przyfastrygowywa się na mocny tiul brukselski, poczem obwodzą się kontury ściegiem szydełkowym albo okrętką białą bawełną używaną do haftu zabierając przy środkowéj gwiaździe obydwóch konturów tiul, pikę i batyst.

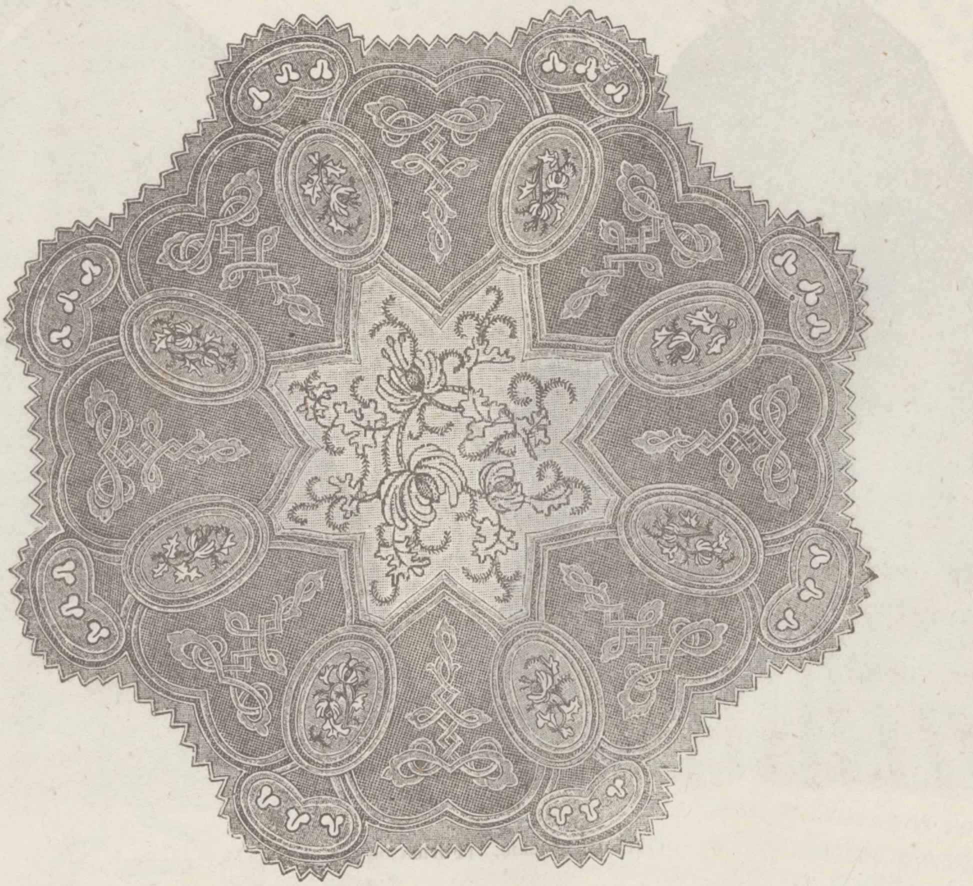
W dalszem obrabianiu zewnątrz przycina się pika, a wewnątrz pod piką przycina się batyst; w pośrodku medaljonów i obok leżących wązkich przestrzeniach, wycina się tiul tuż przy wewnętrznych konturach, a w to miejsce podkłada się jeszcze raz batyst, ażeby kwiatki i listki w medaljonach, jak również i trzy listki koniczyny w wązkich brzeżnych polach lepiéj się wydały. Wszystkie kontury kwiatków i listków obdziergują się rzadko, żyłki okrętką albo łańcuszkiem, gałązki ściegiem rybiéj ości, cienie zaś w kwiatkach i łodygach wykonywują się stebnówką. Brzeżne zęby serwety dziergają się, a nakoniec wyciąć trzeba wszędzie batyst, gdzie całość serwetki czarne tło wskazuje; pod medaljonami, gdzie rysunek matowy deseń przedstawia, tiul zostaje pod spodem. N. 9. Narożnik do chustki od nosa na haft atłaskowy.—N. 10 do 23. Desenie ozdoby czepeczków na rano, kołnierzyków, mankietów bluzek i t. d. Brzegi deseników dziergane, reszta wyszyta ściegiem przewlekanym czarnym jedwabiem francuzkim. N. 24 do 26 i od 29 do 33. Narożniki do kołnierzyków, mankietów, chustek do nosa, krawatek i t. d. na haft atłaskowy i drobny stembenek.—N. 27 i 28. Desenie na falbanki i bieliznę rozmaitego rodzaju. — N. 34. Gwiazdka szydełkowa do połączenia większych gwiazd na serwetę, które w krótce dołączone będą.—N. 35. Krawatka koronkowa przepięta w środku paskiem batystowym i trzema złotemi guziczkami. Krawatka ta trzyma się na białym elastycznym sznureczku, który się kładzie pod jaki kolwiek kołnierzyk i spina z przodu na guziczek.—N. 36 kołnierzyk wielki koronkowy lub tiulowy w rzucik, przybrany wstawką, i koroneczką. Wstawka u szyi podwleczona aksamitką od któréj końce spadają z tyłu poniżéj pasa. Kołnierzyk spina się z przodu na dwie broszki jednakowe lub też na rozetki ze wstążki lub z aksamitki.—N. 37 i 38. Naszyjniki z czarnych lawowych paciorek, przytwierdzone w górze do wstążeczki morowéj lub czarnéj aksamitki.—N. 39. Kołnierzyk „*Molière*“ z dubeltowego płótna, przeszywany brzegiem sznureczkami.—N. 40. Mankiet odpowiedni (Formy na drugiéj stronie arkusza pod N. 11 do 20.— N. 41. Kołnierzyk Ludwik XV.—N. 42. Mankiet (Forma pod numerem 4 i 5 na tejże stronie).— N. 43. Kołnierzyk z medaljonami gipiurowemi.—N. 44. Mankiet (Formy na drugiéj stronie pod Nr. 23 i 24.—N. 45. Kołnierzyk w zęby z dubeltowego płótna, garnirowany gipiurową koroneczką dwa centymetry szeroką i takąż wstawką na półtora centy. szeroką. Na każdym śpiczastym zakończeniu zębów naszyte są kółeczka gipiurowe. Te same medaljony zdobią narożniki kołnierzyka.—N. 46. Mankiet odpowiedni.—N. 47. Naszyjnik z aksamitki i pereł. Do zrobienia naszyjnika trzeba 216 cent. długiéj aksamitki czarnej, półtora centy. szeroką, którą się naszywa lawowemi rzniętemi perłami większéj i mniejszéj wielkości, i zdobi wiszącemi festonami z tychże pereł. Obwód około szyi umniejsza się przez małe fałdki, następnie podszywa się naszyjnik fularem i zakończa z tyłu rozetą z wązkiéj aksamitki i długiemi końcami z grelotkami u dołu.

Opis okrycia Greckiego, kołnierzyka ze szmizetką, kołnierzyka „Molière“, kołnierzyka w zęby i gipiurą garnirowanego, wraz z mankietami.

N. 1. Przednia część okrycia Greckiego.—N. 2. Połowa pleców.—N. 3. Połowa kołnierza. — N. 4. Rękaw.

Na zrobienie okrycia tego potrzeba materji czarnéj jedwabnéj albo wełnianéj 220 centym. 130 cent. szerokiéj. Materjał może być jakikolwiek, jednakże gładki najodpowiedniejszy. Za cały garnirunek daje się obrąbek stebnowany, pliska jedwabna czarna naszyta rzędem czarnych perełek, lub też deseń perełkami wyszyty. Krój tego okrycia nader jest prosty, a litery jednakowe wskazują jak go zeszyć należy. Całość okrycia drzeworyt przedstawia. N. 5. Przednia część szmizetki.—N. 6. Połowa pleców.—N. 7. Pliska do przodu.—N. 8. Pasek do przedniéj części.—N. 9. Pasek do objęcia wykroju szyi.—N. 10. Połowa kołnierza. Szmizetka taka bardzo jest dogodna pod krótkie kaftaniki albo paletoty, zwykle się na nią używa nanzuku lub półbatystu na kołnierzyk zaś cienkie płótno. Z obranego materjału po zrobieniu najpierw zakładek, krają się podług numeru 5 dwie części z dodaniem potrzebnéj ilości na obrąb, podług numeru 8, 9, paski z dubeltowéj szerokości, podług numeru 6 i 10 po jednéj części w całości przykładając formę na materjał wzdłaż złożony. Po zeszyciu zaszewek i boków podług liter jednozgodnych daje się pliska wycięta w zęby z jednéj, a guziki webowe z drugiéj strony, nareszcie wszywa się szmizetka u dołu w pasek dubeltowy, z tyłu w obrąbek naciągają się tasiemki do ściągania i u góry po objęciu wykroju szyi paseczkiem, wszywa się kołnierz.— N. 11. Całość szmizetki— N. 12. Rękawek. — N. 13. Pasek do góry rękawka. — N. 14. Mankiet. — N. 15. Całość rękawka do szmizetki powyżéj opisanéj — N. 16. Przednia część szmizetki do kołnierzyka *Molière*.— N. 17. Połowa pleców.—N. 18. Połowa kołnierzyka.—N. 19. Połowa rękawka.—N. 20

Mankiet stosowny do kołnierzyka „Moliére“. Całość na drugiéj stronie arkusza pod N. 39 i 40. Kołnierzyk ten krajany z dubeltowego płótna składa się z pięciu zębów, ze wszytemi sznureczkami na brzegu. Podług numeru 18 przykroić kołnierzyk w całości z wierzchu i z podszewki, na którą użyć można perkalu, zeszyć go brzegiem przed igłą z lewéj strony, a po odwróceniu na prawą, umieścić kilka rzędów sznurka przestebnowanego białemi nićmi lub czarnym jedwabiem. Szmizetka u wykroju szyi obejmuje się podwójnym paskiem na jeden centymetr szerokim i w niego wszywa się kołnierzyk. Mankiet składa się z trzech zębów, który się przyszywa do rękawka z nanzuku lub perkalu.—N. 21. Kołnierzyk w zęby z dubeltowego płótna, krajany w całości, jak również mankiet podług numeru 22go obszywają się brzegiem wstawką gipiurową półtora centymetra szeroką i takąż koroneczką 2 centymetry szeroką. Na każdym składzie zęba naszyte są kółeczka gipiurowe, które także zdobią narożniki w kołnierzyku.—N. 23. Wykroiwszy podług formy kołnierzyk z dubeltowego płótna w całości, naszywają się w narożnikach gipiurowe kwadraty, otaczają wstawką gipiurową jeden centymetr szeroką, która przechodzi przez cały kołnierzyk naokoło jak to rysunek wskazuje i garniruje koroneczką. Płótno pod kwadratami jakoteż pod wstawką wycina się, połączoną zaś koronkę z kwadratem pokrywa się batystową pliską przystebnowaną na wierzchu z obydwóch stron. N. 24. Mankiet każdy zdobią cztery gipiurowe kwadraty, wstawka i koroneczka.—N. 25. Przednia część stanika wyciętego.—N. 26. Boczek.—N. 27. Połowa pleców. Z obranego materjału na suknią i z pod-



Serwetka tiulowa na stolik. (Deseń na tablicy haftu od N. 6 do 8).

szewki przykroić podług numeru 25 i 26 przednie części i boczek, podług numeru 27 plecy w całości. Następnie zrobić zaszewki w przodach, pozeszywać wszystkie części podług liter jednakowych i zaopatrzyć prawą stronę w dziurki, a lewą w guziki do zapinania. Do sukni jedwabnéj zrobić można bertę z tiulu jedwabnego, koronki i aksamitki, któréj formę, wzór i opis podaliśmy w dodatku przy numerze 2 gim.



Okrycie greckie. (Forma od Nr. 1 do 4).

KORRESPONDENCJA.

Pani Marji z T. W. Litera koronkowa kosztuje rs. 1 kop. 50. Kołnierz 10 rs.

Pani Male. Nasiona wysłane zostały; do sprawunku dołożono kop, 15. Książka kucharska o jaką się zapytywano, kosztuje rs. 1 kop. 50.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkus z deseniami do haftu, oraz formy: okrycia greckiego, kołnierzyka ze szmizetką; kołnierzyka „Molière" kołnierzyka w zęby i gipiurą garnirowanego wraz z mankietami.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nr. 10 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 25 Lutego (9 Marca) 1867 r.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)

Dzień tęsknym powitała wejrzeniem: Zajezierze dzisiaj tak poważném, jak zwykle, nie było! Wzięła się jednak, z równą chęcią do zwykłych zatrudnień, by stłumić tęsknotę. Nikt też nie dostrzegł co tam w jéj dziewiczem święciło się sercu, a za dni parę, przy zajęciu ciągłém i zatrudnieniu, odzyskała znowu właściwą sobie swobodę i pogodę umysłu. Dziedziczka Jodłowca miała wielką pewność siebie, a ztąd i wielką siłę moralną. Rozumiała to sama jak najlepiéj, i wypowiedziała to sobie. „Inaczejby było, gdybym rzeczywiście była Julją Siewońską!"

III.

Piękne sumienie stać przy przyjacielu;
Jeszcze piękniejsze zostawać przy prawdzie.

Jan Kochanowski.

Nadszedł dzień ś. Eleonory. Janina już wprzódy była oświadczyła, że do Zjawieńca nie pojedzie więcéj; przyznano jéj słuszność, i nikt nie namawiał, by im uczestniczyć zechciała. Panienkom żal było — Adzia spochmurzała, a Frania miała nawet łzy w oczach, ale nie namawiały jéj jednak. Dnia drugiego dopiero państwo Radzyńscy powrócić mieli, a zatem czekały ją niemal całe dwa dni samotne. To też zapełniła je jak mogła: napisała list długi, obszerny do Meranu, a drugi do wujowstwa. Pierwszy taki zawierał ustęp:

„Dotąd nie żałuję a raczéj nie mam jeszcze powodów żałowania, żem się w tak awanturnicze położenie rzuciła. Boć nazwanoby to awanturnictwem — to też w skrytości ducha wyrzuty sobie czynię za ten wybryk niewłaściwy i niekobiecy wcale! Dobrze mi tu, bardzo dobrze i miło.. *jaśnieje mi i promyk prawdziwego szczęścia*, ale zawsze trwoży mnie, żem się tak niewłaściwie popchnęła. Lękam się i następstw dalszych i lękam się.... jak to ktoś uważać będzie! Z tych kilka wyrazów nie wyciągajcie żadnych wniosków niepokojących: jestem spokojna i szczęśliwa a niezadługo wypowiem Wam wszystko. Bądźcie spokojne zupełnie, proszę! — Panienki, na każdą wzmiankę, że opuszczę Zajezierze, gotowe rozpłakać się zaraz"..

Janina już chciała list ten podrzeć i spalić, że niebacznie, powyższe, znaczące, nakreśliła wyrazy, ale potém znowu pozostawiła wszystko, jak było.

„Tak jest szczerzéj"—wyrzekła sama do siebie"— a im bezwzględna należy się szczerość i zaufanie bez granic. Popłynęło na papier, w pierwszym popędzie to co serce powiedzieć pragnęło... a wszakżeż, może, już zawiniłam.. żem dotąd o wszystkiem nie doniosła im szczerze. Nie chciałam ich niepokoić, ale jakżeż tu było o tem mówić, co tak głęboko, tak tajemniczo na dnie zarzyło się serca?..

Napisawszy list powyższy, Janina różnym oddała się zajęciom i pracowała nad ładnym obrazkiem zimowym, kredą białą i czarną na popielatym papierze do Album'u Frani. Wyhaftowała piękną różę w krosienkach. Grała o zmroku przez półtoréj godziny. Wieczorem czytała a potem jeszcze dopisek do listu zrobiła:

„Czytałam przez wieczór cały do późna, bo jest już około północy powieść Julii Kavanagh, *Grace Lee* — bogata, arcy-bogata dziedziczka, żyjąca na wielkim świecie, otoczona uwielbieniem ach!, ale serca tam nie znalazła!.. A kiedy, jakby umyślnie, wielki postradała majątek, nie ceniąc go bynajmniéj, bo jéj szczęścia nie dawał, to ją odstąpili wszyscy... Czytałam z nieokreślonym interesem — z porywem, bom niby siebie w *Grace Lee* widziała. Bóg z wami, moje najdroższe!"

Dnia drugiego, pod wieczór, wrócili państwo Radzyńscy. Panienki niemal z gwałtownością rzuciły się na szyję Janinie, szczęśliwe, że znowu były razem.

— Jakżeście się bawiły?—zapytała po pierwszych uściskach.

— O, bardzo dobrze! Tylko że ciebie tam nie było.

— Tańczyliśmy do godziny trzeciéj, ale jednakże nie tak ochoczo, jak tutaj.

— O, bo ta pani Eleonora ziębi wszystko!—Adzia pokręciła główką.

— Pan Jerzy zapytywał o ciebie, o zajęcia twoje... wymówiła Frania, a młodsza dodała siostrzyczka:

— Zemną ze cztery, z pięć razy o tobie mówił.

— Osób było ze czterdzieści, i tylko *la crême*

jak się wyraziła pani Nora. Wszystko było wykwintne.... ale i we wszystkiem jakoś przesada niemiła.

— Toalety były piękne. Solenizantka w różowym atłasie.

Panienki przez cały wieczór miały wiele jeszcze do opowiadania: opisały niemal każdą toaletę, z kim tańczyły, i co im mówiono. Janina z uśmiechem na ustach słuchała. Przyłączyła się do nich i pani Radzyńska, i także dopowiedziała niejedno.

— Co téż to za śnieżyca! — wymówiła nazajutrz Justysia, wchodząc do pokoju swojéj pani. A gdy odemknęła okienice, Janina ujrzała niby cały świat Boży w grubéj, lśniąco-białéj powłoce. Śnieg sypał równiutko, i ładny to w swoim rodzaju był obraz.

Na objad przybył major, bo i on nie był na imieninach w Zjawieńcu: nie miał nabożeństwa do pani Solenizantki, a potém i nie chciało mu się.

Po objedzie, zaledwo wszyscy przeszli do salonu, gdzie służba właśnie ogień kominkowy świeżem podżegała łuczywem, gdy Adzia zawołała:

— Jedzie ktoś! Brzęk słychać dzwonków.

Ujrzano w bramie arcy-piękną czwórkę karych koni, i saneczki lekkie w tumanie śnieżnego kurzu.

— Kare konie — wymówił major.

— Któż to być może?.. Ej, tożże to Jerzy! — zawołał pan domu.

— Piękne konie!

— Jakaś akwizycja nowa.

Janiny serce uderzyło i czuła, że pobladła.

Pan Jerzy rumiany od mroźnego powietrza, z przybielonym wąsem, w futrze zaśnieżonym całkiem, skłonił się z uśmiechem ku oknom.

— Bywaj! Witamy! — zawołali panowie i na jego powitanie wybiegli. A pomimo śniegu i zamieci, przypatrzyli się koniom, nawet i w zęby im zajrzeli.

W salonie ożywiło się wszystko. Pan Jerzy radosném okiem powitał panie.

— A jakżeś pani swoje dwudniowe, pustelnicze przebyła życie? — zwrócił się do Janiny.

— Zatrudniałam się jak mogłam, odrzekła spokojnie.

— O, ja wiem, że pani z sobą nigdy nie potrafisz się znudzić. Jak tu miło, jak rozkosznie! — wymówił, zacierając dłonie — w polu dmucha Boreasz, a śnieg sypie bez litości, raczéj nie sypie, tylko całemi leci szmatami. Wybrałem się powozem z domu, i musiałem go w Zjawieńcu zostawić.

— A jakżeż do Lwowa pojedziesz? — zapytała pani Radzyńska.

— Jutro tutaj spodziewam się listu, wyraz lekkiéj ironii zadrgnął połową wąsa pana Jerzego.

Wieczór nader mile i wesoło małemu ubiegał zebraniu. Na dworze śnieg sypać przestał, ucichło się, księżyc jasném zatoczył kołem i gładkiéj, białéj, przyświecał powierzchni.

— Będę przyjemny miał powrót —wymówił major, wyjrzawszy przez okno.

— Jesteś przecie sankami? — zapytał Jerzy.

— Saneczkami, jednokonką. Panie Jerzy, czekam cię jutro na śniadanko. Dawno już u mnie nie byłeś.

— Przybędę na pewno.

— Liczę, jak na Zawiszę.

— A majorku, przyjedź-że potém z Jerzym na objad. Ja towarzyszyć mu nie mogę, bo mam ważne gospodarskie zajęcie — wymówił pan domu.

— Dobrze, dobrze, przyjadę.

Major się pożegnał — i powiedziano sobie dobra noc.

Major wyglądał nazajutrz gościa, a pochylony nieco, lecz krzepki zawsze Marcin, dawny jego sługa wojskowy, krzątał się w około.

W pierwszym pokoju, który stanowił salon starego wojaka, żwawy na kominku buzował ogień. Kanapa, kilka krzeseł poręczowych, na urząd zrobionych; szafa z książkami, nieduże zwierciadło, stolik owalny przed kanapą, drugi do kart, pisarka, białe muślinowe firanki, kilka portretów zasłużonych mężów i rozwieszone piękne mapy jeograficzne, — otóż i bawialnia majora. Obok był pokój sypialny: łóżko żelazne, okryte barwnie wyszywaną skórą jelenią, po nad niem zawieszona broń różna i rozpostarty na ziemi dywanik turecki, jedyne téj komnatki stanowiły ozdoby, bo reszta sprzętów prostą była zupełnie.

Major chodził po pokoju, zacierał ręce i raz po raz przez okno, ku Zajezierzu wyglądał, czyli gość pożądany nie nadjeżdża. Wreszcie, po białéj powierzchni pomknęły saneczki, szybko, polotnie, skręciły w osztachetowany dziedzińczyk z wronych koników gęsta w czysty przestwór unosiła się para i niby wryły się przed dworkiem silną dłonią powstrzymane woźnicy. Pan Jerzy z sanek wyskoczył a major uściskał go serdecznie.

— Marcinie, śniadanie! — zawołał pan domu do kuchni.

— Lecę, ot, lecę! Wnet wszystko będzie — odpowiedział Marcin. Nakrył stół przed kanapą, postawił butelkę Goldwasseru, porter angielski—biały chleb położył, kościane noże i widelce i zapasany białą serwetą, wniósł woniejące zrazy i doskonałą kaszę owarzaną, wyśmienity bigos i kiełbasę smażoną.

— Majorze!—zawołał gość wesoło — czyliż z tem wszystkiem potykać się mamy? — i wskazał kurzące się półmiski.

— Co w drodze, to nieprzyjaciel. W ręce twoje! i gospodarz nalał lampeczkę gdańskiéj.

Podane potrawy były wyborne — a stary Marcin, drepczący w koło, cieszył się niemało z dobrego apetytu panów.

Gdy po śniadaniu panowie zapalili cygara, a Marcin ze stołu sprzątnął, potem ognia poprawił i wyszedł, — major przysunął krzesło swoje do kanapy, na któréj zasiadł wygodnie Jerzy, i zaczął:

— Mój panie Jerzy, zacny, kochany, czy pozwolisz staremu przyjacielowi jedno od serca zrobić pytanie?

— Choćby i dziesięć! — zawołał Jerzy, otrząsł cygaro i wyprostował się nieco.

— Mój kochany panie, znam ciebie, żeś prawy, zacny, szlachetny i honorowy... Nie mam ja w prawdzie żadnego pod tym względem prawa, ale, pozwól, niechaj się zapytam: jakież są twoje zamysły co do panny Siewońskiéj?

Pan Jerzy pokraśniał, poruszył głową niby się uśmiechnął — i cygaro w płomień rzucił.

— Jakto? — zapytał — jak to rozumiesz, majorze kochany?

— Bo widzisz, ze mnie stary Doświadczyński: smolisz cholewki, choć to niby niejawnie... panienka podoba się tobie, a co gorsza: zająłeś jéj serduszko... serce ubogiego dziewczęcia, sieroty, a tyś panicz, panie Jerzy!

— Jakżeś to poznał, mojorze... jakżeś poznał się na tem, żem jéj zajął serce? — uniósł się Jerzy, i aż za rękę majora pochwycił.

— Ba! Jak?!.. Mówiłem ci, żem stary wyjadacz... Nie na jedne to patrzałem się *amory* i nie jedne zakrwawione poznałem serce. Żeś pannę zajął, widzę to po wszystkiem, wszędzie i zawsze. Gdyś przeszłego razu odjeżdżał i żegnał się wieczorem, biedaczka pobladła i... o mało, że dudki nie zagrały, jak mawiała ś. p. babka, gdy mnie, chłopięciu, zbierało się na płacz. Z boku patrzałem się na nią, a gdyś rączkę jéj do ust przycisnął, myślałem, że dusza z niéj wyskoczy. Wczoraj, gdyś niespodziewanie zajechał, także znowu jak lilijka pobladła i niby tchu jéj zabrakło. Stała odwrócona do okna, nikt tego nie widział, alem ja obserwował niebogę.

Jerzy słuchał z opuszczoną na dłoń głową, potem powstał nagle, ujął w obiedwie dłonie rękę majora, i z podniesionym rumieńcem, a okiem dziwnie ożywionem, stłumionym wymówił głosem.

— Majorze, zobowiązałeś mnie szczególniéj tém przemówieniem swojem, i nowy dałeś dowód zacności charakteru, poczciwości i dobroci... Wiedz-że przeto tajemnicę mojego serca: kocham pannę Siewońską, czczę ją i uwielbiam... i pragnę ją zaślubić.. jeżeli mnie nie odrzuci.

— Och, och, panie Jerzy! — twarz majora zajaśniała radością — ciebie miałażby odrzucić?

— Ale ja nie chcę, by mnie wybrała dla dostatków moich i imienia. Ja serca pragnę... miłości.

— Masz jéj serce, klnę się na wszystko.

— Strasznaż dla mnie jest myśl ta, że wybrana przezemnie i ukochana jedynie, mogłaby oddać mi rękę dla pozycji tylko i majątku... a zemnie zrobić dudka.

— Nie ona! nie ona! Jesteś kochanym, panie Jerzy, i to właśnie spowodowało tę moję z tobą rozmowę. Bo żal mi było dziewczęcia, a to takie poczciwe, kochane, tyle tam szlachetności i serca.

— Zaraz od pierwszéj chwili poznania panny Janiny, dziwne na mnie uczyniła wrażenie, jak żadna dotąd kobieta. Widywałem ją codziennie, i przenosiłem jéj towarzystwo ponad wszelkie inne. Mówiłem z nią wiele, różne rzucałem kwestje... uważałem na nią i rozważałem wszystko. Zdawało mi się, dawniéj już nawet, żem jéj serce zajął, lecz zawszem się lękał... powiem otwarcie: spekulacji ze strony panny ubogiéj zależnéj, zajmującéj smutne w społeczeństwie stanowisko. Bo przyznasz majorze, że niejedna pragnęłaby wyrwać się z takiego położenia, bez widoków na lepszą przyszłość, chociażby i rękę bez serca oddać miała.

— Tak, zapewne... Ale tutaj jest wcale co innego! — i major ręką machnął.

— Odzywała się wprawdzie zawsze i przy sposobności każdéj, z najwyższym wstrętem o małżeństwach na obliczeniu zawartych. A ja, raz uwielbiałem ją za to, to znowu podejrzywałem...

— Oto! Czyliż sam siebie nie znasz, panie Jerzy? Czy nie umiesz sam siebie ocenić? Czy wreszcie nie patrzysz w zwierciadło — i stary wojak zaśmiał się wesoło.

— Ale patrzę się także na świat.... znam go, i znam kobiety!

— Ej, alež tu nie o *Lafiryndach* mowa, tylko o dziewczęciu młodem, zacnem, z przeczystą myślą i sercem!

— O tém przekonałem się wreszcie.... i dzisiaj wierzę w nią, jak w świętość swoją!

— No to przecież jest słowo! Po cóż nie oświadczasz się przeto, nie kończysz?

— Skończę od razu, gdy pani Siewońska przyjedzie. Znasz moją siostrę, zrobiłaby scenę.... a pragnę wybraną moję zasłonić od wszelkich i najmniejszych przykrości. Eleonora gotowaby zrobić jaką niedorzeczność!.. Jest dziwaczką, popędliwą, namiętną bezwzględnie..... Znasz ją przecie. Niemogę panny Siewońskiéj na jéj narażać złość i złośliwość.... na jad, dodał ciszéj — którym by ją obrzuciła. Rzecz smutna i nader bolesna, że to wyrzec muszę, alež tak jest, niestety!

— Znamy to wszyscy!

— Wszystko przysposobię, urządzę, a gdy pani Siewońska zjedzie, oświadczę się tegoż dnia samego. Nazajutrz będę miał indult.... i zaraz ślub weźmiemy w Kobylanach. Świadkami będą tylko państwo Radzyńscy i major kochany. Po ślubie wprost uwiozę żonę i matkę do Żurawina. Tam wyprawię przenosiny wystawne. Zaproszę oczywiście Bojarowskich. Jeżeli Eleonora przyjedzie, to dobrze. Jeżeli nie.... to i tak będzie dobrze. Rozumiesz więc teraz, kochany majorze, moje postępowanie?

— Rozumiem, pojmuję...

— I pochwalasz?

— Chciałbym tylko, by panienka nie pozostawała w wątpliwości co do uczuć twoich.

— Niechaj własném odgaduje je sercem!.. Rozważyłem wszystko. Gdybym jéj wyznanie uczynił, niepowinno-by to w tajemnicy przed panią Radzyńską pozostać, która z prawdziwie macierzyńską dla niéj jest troskliwością. Pównie panna Janina nie chciałaby przed nią taić się z niczem, o tém jestem przekonany aż nadto. Drugostronnie zaś, nie chcę szanownéj i poczciwéj kuzynki w tajemniczać bezpotrzebnie i spokój upragniony narażać. Ciężyłaby jéj tajemnica, zwłaszcza w obec Lorki. Mogłaby się zdradzić pomimowolnie.... i wielkie sprowadzić nieprzyjemności, nawet i dla saméj siebie. Eleonora już tam z Warszawy zachwyciła jakieś pogłoski, i ztąd ta jéj nienawiść dla panny Siewońskiéj. Opowiadano jéj, żem tylko u pani Radzyńskiéj przesiadywał, żem wszelkie inne towarzystwa opuszczał, porzucał. Żem po całych wieczorach tylko z jéj panną do towarzystwa rozmawiał, i t. d., i t. d.! — Zbiłem ją wprawdzie nieco z toru i z tropu, bo kłamię i skrzywił pogardliwie usta, o ile język starczy,

lecz podejrzywa jednakże, i jest w furji, gdy tylko o pannie Siewońskiéj wzmiankę posłyszy.

Mógłbym ją, oczywiście, do milczenia zmusić... lecz nie chcę żadnych ostateczności!.. Eleonora jest siostrą moją, którą kocham zawsze i pomimo wad jéj i narowów... i którą szanować winienem. Zresztą, i każda awantura taka dotknęłaby nader boleśnie jedynie ukochaną istotę, którą czczę ponad wszystko w świecie. W Maju przyjeżdża pani Siewońska, a Luty już się kończy. Na ciebie kochany majorze, wkładam obowiązek, że będziesz nad tem czuwał i doniesiesz mi kurjerem, skoro tylko spodziewaną będzie, ażebym nawet rychléj od niéj w Zajezierzu mógł stanąć. Tymczasem urządzę wszystko na przyjęcie przyszłéj pani. Uekwipuję się zupełnie.... Dia niéj, na pierwsze chwile, magazyny warszawskie w dwóch dniach najpotrzebniejszych dostarczą przedmiotów. Obmyśliłem, rozważyłem wszystko. Po cóż więc jakieś sceny, które bawiły-by drugich, a zakrawały na skandalik, skoro wszystko jak najspokojniej odbyć się może?

— Jest w tem racja, ani słowa!.. A wyznam szczerze, żem się niepokoił trochę.

— Nie ufałeś mi, majorze! Niesłusznie to i niesprawiedliwie, bo nigdym nie zasłużył, by mnie posądzono o płochość, o postępowanie lekkomyślne, a wreszcie i niehonorowe całkiem.

— Panie Jerzy kochany! Jerciu! Szczerozłoty, zaprawdę! Wybacz! — i rzucił mu się na szyję. Nie posądzałem cię o lekkomyślność, a tem mniéj jeszcze o coś niehonorowego... tylko, ot, trwożyło mnie, że grzeczności twoje zawrócą młodą główkę, i młode zbałamucą serce.

— To i dosyć złegoby było!

— A państwo Radzyńscy, czyliż na nic nie zwrócili uwagi?

— Widzą zapewne w postępowaniu mojem zwykłą tylko grzeczność i szacunek. A zresztą milczą.

— Teraz wypijemy za zdrowie twojéj bogdanki! zawołał major i zadzwonił.

Marcin ukazał się we drzwiach półodemkniętych, z rękawami zawiniętemi.

— Butelkę *tego*, wiesz przecie, Marcusiu!

Marcin głową kiwnął — i klucze z rąk pana odebrał.

Po chwili, głosem przyciszonym, lecz sercem wołającém na głos cały, wniesiono: zdrowie ślicznéj panny Janiny!

A jéj, uczczonéj solenizantce, ani śniło się w téj chwili, co tam niedaleko radzono o niéj, i co dla jéj uradzono doli.

Pani Nuta, nauczyciel muzyki, właśnie przybył. Panny grały jakieś nowe sztuki, a Janina, siedząc opodal z robotą, słuchała a może i marzyła!.... Marzyła zapewne: muzyka rozmarza, unosi, — porywa, jeszcze też gdy w sercu niebieski goreje płomyk, a myśli młode sny roją złociste.

Na objad przybył major z panem Jerzym. Obadwaj byli w różanych humorach. Aż zrobiło się gwarno, bo i jeden i drugi wesołe stroili żarciki. Panienki w ciągłych zostawały chichotach.

Wieczorem ozwał się pan Jerzy do pani Radzyńskiéj:

— Posyłam jutro mojego Sylwestra do Zjawieńca. Doniosę Lorce — uśmiech okrążył mu usta — żem odebrał list.... i że już na teraz niepojadę do Lwowa, lecz do Krakowa. Wracam przeto pojutrze do domu, a ztamtąd wprost udam się w zamierzoną podróż.

Janina zapłonęła i niżéj nad robotą pochyliła czoło.

— Wybierasz się jak sujka za morze w tę swoją podróż odezwała się pani Radzyńska.

— Boć też to i daléj jak zamorze.... daléj, jak za *siedem mórz*!.. powiedziano w piosence któréjś— odrzekł Jerzy, usiadł obok Janiny na krzesło, pochylił się nieco, niby to na haft jéj patrząc, i wpółcicho wymówił: Już i sam nie wiem, czyli mnie ta *komedja* onéj podróży do Lwowa i do Krakowa nudzić, czyli też bawić poczyna.

Janina zróżowiała mimowolnie, boć te wyrazy pana Gorysławskiego jak najwyraźniejsze miały znaczenie.

Dnia trzeciego, po drugiem śniadaniu, pan Jerzy odjeżdżał. Major przybył, by go pożegnać.

— I kiedyż się zobaczymy? — zapytał.

— Za parę tygodni.... Wiesz, kochany majorze, że dużo mam do czynienia, a z Żurawina do Zajezierza przestrzeń dość daleka.

— Tak, tak, to prawda. No, niechaj cię Bóg prowadzi i,... zamysły twoje szczęśliwie uwieńczy — dodał major ciszéj, z rzutem oka na Janinę, która te dosłyszała wyrazy.

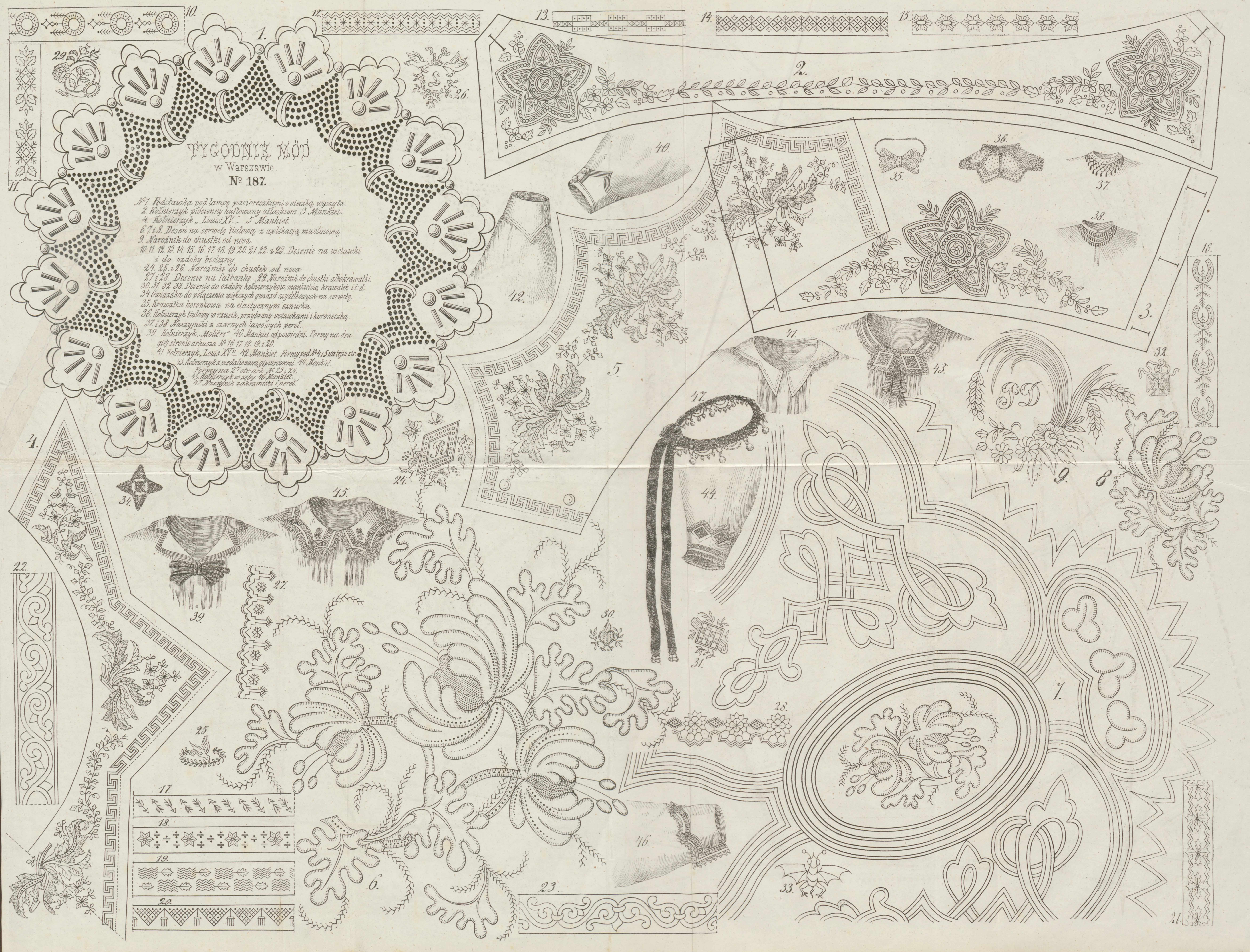
Pan Jerzy się pożegnał. Wrone koniki ochoczo z dziedzińca ruszyły. Frania i Adzia wyglądały za nim przez okno. Pan Radzyński poszedł w podwórze, pani domu także gdzieś tam wyszła, a Janina ze ściśniętem tęschno sercem do swojéj zabrała się roboty.

— Odjechał — wymówił major, siadając opodal i zażył niuszek paryzkiéj tabaki — odjechał poczciwiec... — majora język świerzbił wyraźnie — zacny to i szlachetny młodzian... istna perła pomiędzy wszystkiemi. Charakter nieoceniony... Jakiż to kontrast z panią Eleonorą!... Mówiliśmy dużo... Panno Janino — i ścisnął jéj rękę — to szlachetny jest człowiek, serce złote, i wola zacna a nieugięta.

Młoda dziewczyna pokraśniała — i aż zadrgnęła w głębi duszy na powyższe wyrazy. Major powstał i zwrócił się nagle do panienek, zapewne by nie wygadać się więcéj.

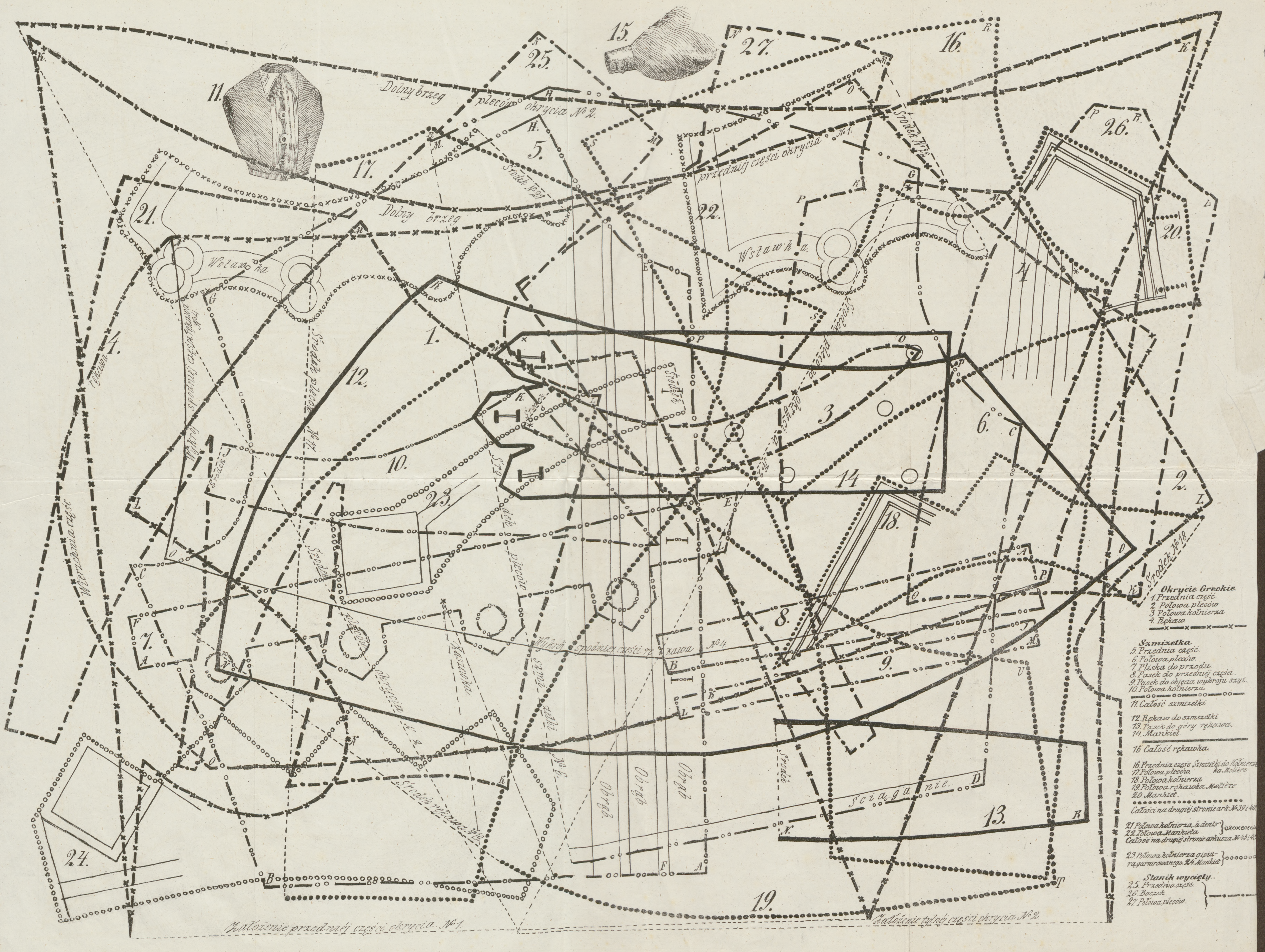
Janina zrozumiała go, zrozumiała aż nadto dobrze. Wyszywała barwne krzyżyki, nie podnosząc oczów — a serce jéj uderzało gwałtownie.

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD
w Warszawie.
№ 187.

№ 1. Podstawka pod lampę paciorеczkami i sieczką wyszyta.
2. Kołnierzyk płócienny haftowany atłaskiem 3. Mankiet.
4. Kołnierzyk „Louis XV." 5 Mankiet.
6. 7 i 8. Deseń na serwetę tiulową z aplikacją muślinową.
9. Narożnik do chustki od nosa.
10. 11. 12. 13. 14. 15. 16. 17. 18. 19. 20. 21. 22. i 23. Desenie na wstawki i do ozdoby bielizny.
24. 25. i 26. Narożniki do chustek od nosa.
27 i 28. Desenie na falbankę. 29. Narożnik do chustki albo krawatki.
30. 31. 32. 33. Desenie do ozdoby kołnierzyków, mankietów, krawatek i t. d.
34. Gwiazdka do połączenia większych gwiazd szydełkowych na serwetę.
35. Krawatka koronkowa na elastycznym sznurku.
36. Kołnierzyk tiulowy w rzucik, przybrany wstawkami i koroneczką.
37. i 38. Naszyjniki z czarnych lawowych pereł.
39. Kołnierzyk „Molière" 40. Mankiet odpowiedni. Formy na drugiej stronie arkusza № 16. 17. 18. 19. i 20.
41. Kołnierzyk „Louis XV." 42. Mankiet. Formy pod № 4 i 5 na tejże str.
43. Kołnierzyk z medalionami gipiurowemi. 44. Mankiet. Formy na 2giej str. ark. № 23 i 24.
45. Kołnierzyk w zęby. 46. Mankiet.
47. Naszyjnik z aksamitki i pereł.


Dolny brzeg pleców okrycia №2.
przedniej części okrycia №1.
Dolny brzeg
Wstawka
Środek pleców №17
Wierzchnia część
Ściąganie.
Założenie przedniej części okrycia №1.
Założenie tylnej części okrycia №2.
Środek №18
Okrycie Greckie.
1. Przednia część.
2. Połowa pleców
3 Połowa kołnierza
4. Rękaw.
Szmizetka
5. Przednia część.
6. Połowa pleców.
7. Pliska do przodu.
8. Pasek do przedniej części.
9. Pasek do objęcia wykroju szyi.
10. Połowa kołnierza.
11. Całość szmizetki
12. Rękaw do szmizetki
13. Pasek do góry rękawa.
14. Mankiet.
15 Całość rękawka.
16. Przednia część Szmizetki do Kołnierzyka Molière
17. Połowa pleców.
18. Połowa kołnierza
19. Połowa rękawka Molière
20. Mankiet.
Całości na drugiej stronie ark: №39 i 40
21. Połowa kołnierza „à dents"
22. Połowa Mankieta
Całość na drugiej stronie arkusza №45 i 46
23. Połowa kołnierza gipiurą garnirowanego. 24. Mankiet
Stanik wycięty.
25. Przednia część.
26. Boczek.
27. Połowa pleców.